

Spotkanie autorskie z Karoliną Ćwiek-Rogalską

Prowadzenie: dr Małgorzata Mastalerz-Krystjańczuk

MMK:

Zaczynamy to spotkanie, na które bardzo się cieszę i myślę, że wielu z Państwa oczekiwało tego spotkania, ponieważ książka, która jest taką przyjemną przyczyną właśnie tego całego zamieszania, jest rzeczywiście bardzo interesująca i jak najbardziej odpowiednia dla czytelników właśnie z ziemi słupskiej, ze Słupska, z okolic. Ziemie. Historia odzyskiwania i utraty. Może najpierw troszeczkę bliżej przedstawię Panią autorkę, Panią profesor Karolinę Ćwiek-Rogalską. Mamy tu napisane o Pani kilka słów, że jest Pani kulturoznawczynią, antropolożką i bohemistką. Natomiast z książki już dowiadujemy się, że zainteresowania właśnie tożsamością ziem odzyskanych, tak zwanych ziem odzyskanych, interesuje się Pani już od wielu lat. Czy wszystko się zgadza?

KÓR:

Jak najbardziej wszystko się zgadza. Bardzo dziękuję za przedstawienie, bardzo dziękuję za zaproszenie i cieszę się, że mogę tutaj być, że będziemy mogli porozmawiać o ziemiach i o ziemiach. O ziemiach i o ziemiach.

MMK:

Za chwilę będziemy to wszystko sobie rozkładać na części pierwsze. No właśnie. Ziemie. Historia odzyskiwania i utraty. Zanim zastanowimy się nad tym tytułem, proszę mi powiedzieć, gdybym zapytała Panią, czy jest to książka, w której opowiada Pani o kształtowaniu się społeczeństwa na tak zwanych ziemiach odzyskanych w wielopłaszczyznowym, to czy to by się zgadzało? Czy jest to za mało?

KÓR:

Powiedziałabym, że również. Dlatego, że zależało mi i dlatego też ta książka nazywa się Historie, nie Historia. Na pokazaniu wielości głosów, na wykorzystaniu wielości źródeł. Dlatego, że interesuje mnie przede wszystkim właśnie to, jak kształtują się te nowe kultury, te nowe społeczności po przyjeździe tutaj. Z czego one się biorą? Z jakich elementów przywiezionych, zastanych? W jaki sposób powstają? Więc myślę, że tak. Plus jeszcze różne inne wątki też. Czyli jak też ta idea rezonuje z kolei w centrum. I nie tylko jak te idee przychodzą z centrum i jak są dystrybuowane, ale również jak my wpływamy na ziemie dawne. Ziemie dawne, czyli te tereny, które były polskie przed rokiem... Dziękuję bardzo. Przed rokiem czterdziestym piątym i takie pozostały.

MMK:

No mnie urzekł bardzo tytuł tej książki. Ziemie. Historie odzyskiwania i utraty. Tak nam się po tych ziemiach zaraz kojarzy, że one jednak odzyskane, prawda? Graficznie też tak nam się to składa, że te ziemie odzyskane. I tutaj chyba musimy od razu sobie na samym wstępie wyjaśnić tak zwane ziemie odzyskane. Bardzo proszę, jakby nam pani opowiedziała o swoim stosunku do tego sformułowania, o tym w jaki sposób pani używa tego terminu. Czy jest on poprawny według pani i czy może ma pani coś na wymianę?

KÓR:

Tak, to prawda. To znaczy te odzyskane, to nawet w jednym z miejsc, gdzie miałam tego typu spotkanie, właśnie na etapie przygotowywania umowy jeszcze dzwoniło do mnie, czy na pewno ta książka się nazywa Ziemia Odzyskana. Więc ja powiedziałam, że nie, właśnie nie ma tamtego przymiotnika i na tym mi też zależało, żeby ani nie obarczać tego tytułu przymiotnikiem, ani nie wymyślać własnej nazwy, dlatego że jestem przede wszystkim właśnie etnografką, czyli praca, którą wykonuję polega na wyjeździe w jakieś miejsce, w moim przypadku jest to powrót właściwie do domu, do powiatu wałeckiego, na takie długie zamieszkiwanie, przebywanie, wsłuchiwanie się, rozmawianie z ludźmi i przyglądanie się temu, jakich terminów używamy. No i my mamy oczywiście z tym terminem problem wszyscy chyba, wszędzie właściwie, stąd te ziemie odzyskane w cudzysłowie, te tak zwane ziemie odzyskane, więc ja od razu uprzedzę, że jak będę używała w całości zwrotu ziemie odzyskane, to Państwo tam usłyszą ten cudzysłów, który zapada po obu stronach.

MMK:

Bardzo wyraźnie.

KÓR:

Bardzo wyraźnie, dlatego że ten cudzysłów daje mi taką możliwość zdystansowania się do jakby też ideologicznej warstwy tego terminu. Ale używam go dlatego, że po pierwsze był to termin używany i był to termin, który budził w ogóle bardzo duże kontrowersje właściwie przez cały czas swojego istnienia, a wbrew pozorom nie narodził się w roku 1945. To znaczy ten pomysł na to, że są jakieś tereny, które były pierwotnie słowiańskie, jest tam jakaś taka warstwa polska, do której można się dokopać pod warstwą niemiecką, precyzuje się gdzieś w okolicach okresu międzywojennego i tam wtedy powstaje taki termin, ziemie postulowane. Wymyślony zresztą przez poznańskich historyków, którzy nie mogli się spodziewać, że wkrótce wybuchnie wojna, która ten kraj przesunie na zachód i na północ. A sam termin, choć chętnie wykorzystywany w początkach zasiedlania, zaczął sprawiać problem już władzom komunistycznym właściwie w trzy lata po wojnie. To znaczy jest taki moment bardzo dziwny, ale bardzo też znaczący w historii tej nazwy, w roku 1948 we Wrocławiu. Czyli mamy wielką wystawę ziem odzyskanych. Trzy lata po wojnie chcemy pokazać, co myśmy wszystko zrobili, jak żeśmy zagospodarowali, czy odbudowaliśmy, kto tam przyjechał. I przyjeżdża z Warszawy premier Cyrankiewicz, który w tymże Wrocławiu używa takiego sformułowania, że już nie ma czegoś takiego, jak ziemie odzyskane. Że te tereny są tak samo polskie, jak cała reszta kraju. I on to robi oczywiście też w interesie politycznym. To jest moment, kiedy marginalizacji ma ulec postać Gomułki, pierwszego ministra ziemi odzyskanych. Tak w ogóle dąży się do likwidacji ministerstwa, a żeby je zlikwidować trzeba uzasadnić, że w gruncie rzeczy spełniło już swoje zadania. Ale to jest ten moment, kiedy przestaje się też nawet w tym dyskursie publicznym używać tego sformułowania. Chociaż ono się jeszcze przewija. To znaczy zostaje wpisane do Konstytucji, zwyczajowo gdzieś się go używa, ale zaczyna się mówić o ziemiach zachodnich, które są kłopotliwe, bo co zrobić z Gdańskiem, co zrobić z Warmią i Mazurami? Więc pojawiają się ziemie zachodnie i północne. Ale to jest z kolei desygnat geograficzny. To znaczy on nam niewiele mówi o jakiejś historii tych terenów. No i nie jest specjalnie poręczny. To znaczy trudno jest mówić, że się jest z ziem zachodnich i północnych, prawda? Więc pojawiają się różne inne sposoby, zwłaszcza po roku 89, jakiegoś nazwania tych terenów, na których się znajdujemy, jakoś znalezienia języka dla tego naszego doświadczenia.

No ale nie ma takiej jednej nazwy. I jedna nazwa też trochę by sugerowała, że wszystkie te tereny, czyli tu, gdzie jesteśmy, na Pomorzu, ale też Dolny Śląsk, Ziemia Lubuska, Warmia i Mazury, że to jest jakaś całość. I to jest też kłopotliwe pod różnymi względami. To znaczy zakrywa różnorodność wewnętrzną tych terenów, różnicę pomiędzy nimi. No właśnie, wkłada wszystko do takiego jednego worka, który często ma też takie skutki uboczne, że kiedy pokazuje się nas, nasze tereny, na mapie ogólnopolskiej, kiedy chce się pokazać jakiś, na przykład, nie wiem, zakres rozkład dialektów, zróżnicowanie czegokolwiek innego, no to wszędzie jest jakoś tak barwnie, a my jesteśmy jednym kolorem, prawda? Właśnie z tą Warmią, Mazurami, z tym Śląskiem i tak dalej. I to pokazuje, że my nie mamy do końca tego języka dopracowanego, jak o tej różnicy mówić. No i ten termin Ziemie Odzyskane bez tego cudzysłowu byłby tutaj kłopotliwy. Stąd Ziemie w tytule i taki eksperyment poszukiwania tego, jak o tym opowiadać.

MMK:

Ale tego terminu Ziemie Odzyskane musimy używać, żeby oddać w tym momencie specyfikę tamtego okresu, prawda? Tak mi się wydaje. Oczywiście mając w pamięci ten cudzysłów czy też mówienie tak zwane. My jesteśmy tutaj w specyficznym położeniu, ponieważ mieszkamy na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych, a niedaleko nas mieszkali tak zwani Słowińcy. Więc mamy tutaj tych tak zwanych określić dość dużo i ja zawsze stoję na stanowisku takim, nie wiem czy mnie pani poprze, że po prostu edukacja jest najważniejsza i trzeba wiedzieć, co się pod daną nazwą kryje, prawda? Żeby nie brać jej tak nigdy wprost. Ale to może jest jeszcze na inną okazję do porozmawiania. Pani profesor, skąd czerpać źródła do tego, żeby dowiedzieć się dokładnie, jak wyglądało życie w 45 roku, życie osadników na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych? Bardzo proszę, jakby mogłaby nam pani przybliżyć te źródła.

KÓR:

Ja pracuję właściwie na takich dwóch odnogach, jeżeli chodzi o źródła. Pierwszą są faktycznie archiwa, dokumenty zarówno oficjalne, listy, wszelkiego rodzaju korespondencja, ale też pamiętniki. Bo my żyjemy w takiej szczególnej społeczności czy takim szczególnym społeczeństwie, które ma to doświadczenie konkursów pamiętnikarskich. Czyli miliony zapisanych stron, nadsyłanych na najrozmaitsze konkursy właściwie od lat 20.

XX wieku. I konkursy zazwyczaj wyglądały tak, że była jakaś odezwa, w której proszono dane osoby o to, żeby napisały na jakiś temat o swoim życiu. No i było też kilka takich konkursów właśnie na Konkurs Osadnika Ziemi Odzyskanych.

One się w ten sposób nazywały. Ale też różne inne. Na przykład Konkurs na Pamiętnik Szczecińskich Rodzin.

Nauczyciela Ziemi Odzyskanych. Tak, nauczyciela dokładnie. Czy też jakichś służb milicyjnych.

Było tego trochę. Więc to są oczywiście rozmaite źródła. To, mam wrażenie, co jest istotne w tych źródłach, to jest oczywiście ich krytyka.

Nie w znaczeniu powiedzenie one mi się nie podobają. Tylko krytyka, jeżeli chodzi o analizę tych źródeł. To znaczy przyjrzenie się im właśnie, kto je napisał, dlaczego je napisał, z jakiego powodu, kiedy, nawet na czym.

Bo to też może nam bardzo wiele powiedzieć o chociażby stosunku do takiej materialności, która pozostała. Czyli dokumenty spisane na przykład na odwrocie dawnych niemieckich dokumentów. I to czasami jeszcze dosyć długo po wojnie w ten sposób robiono.

Więc to są źródła archiwalne. I tutaj chodziło mi też o dotarcie do tych narracji pisanych przez konkretne osoby. To znaczy, że za każdym z tych źródeł stoi ten człowiek z tą swoją indywidualną historią, którą chce w jakiś sposób powiedzieć.

Coś go dręczy, o czymś chce napisać. Natomiast taki drugi nurt, w którym pracuję, to właśnie ten nurt etnograficzny. I tam takim głównym źródłem są wywiady.

I oczywiście wywiady z osobami, które rok czterdziesty piąty przeżyły, nie są w tej chwili znaczącą. Nie ma ich tak wiele. Oczywiście z takich czysto demograficznych powodów.

A jeżeli już udaje mi się też znaleźć rozmówcę czy rozmówczynię, która ten rok czterdziesty piąty ma za sobą, to często jako dziecko, ewentualnie bardzo młody dorosły czy nastolatek. Więc tutaj bardzo często też bazuje na wywiadach czy rozmowach z osobami z drugiego, z trzeciego pokolenia. Z tego, co zachowało się w przekazie rodzinnym.

I to też jest bardzo interesujące. To znaczy, co my pamiętamy, a czego nie chcemy pamiętać, a czego nie możemy pamiętać, a co nas jeszcze zastanawia, o co nie zdążyliśmy zapytać. Więc to też się oczywiście wpisuje w ten nurt krytyki źródeł, to znaczy do czego możemy dotrzeć.

No i oczywiście istnieją jeszcze teksty kultury najrozmaitsze, które też próbują opisać tę rzeczywistość. Czasami na bieżąco, czasami post-factum, po jakimś czasie. Też narzucając czy przedstawiając pewną interpretację tych wydarzeń.

Co też, jeżeli weźmiemy pod uwagę właśnie ten odstęp czasowy, może być bardzo interesujące. Także zasadniczo te trzy rodzaje, czyli archiwa, źródło etnograficzne i tutaj też oczywiście ta przestrzeń, którą warto jest zrozumieć, to znaczy czasami to, co opisane w jakimś dokumencie archiwalnym, warto sprawdzić na miejscu. Przyjrzeć się, czy to faktycznie tak wygląda.

Jeżeli wygląda trochę inaczej, to dlaczego w ten sposób zostało opisane. No i właśnie ta trzecia grupa, czyli teksty kultury, czyli książki, filmy, prasa i tak dalej. I tutaj wielki szacunek i ukłon w stronę pani i pani pracy.

Rozmawialiśmy tutaj chwileczkę przed tym spotkaniem, że to, co pani zrobiła, to jest ułożenie takich wielkich puzzli przestrzennych o kształtach wymyślonych dowolnych, że jest to rzeczywiście bardzo trudne. Mnie zastanawia taka rzecz, czy gdy pani analizowała wspomnienia, pamiętniki, czy widziała pani tę różnicę, jaka pojawiała się wraz z upływającym czasem? Ja nie mówię o tym, że na początku w latach sześćdziesiątych wiadomo, że nie wszystkie wspomnienia na konkurs przeznaczone docierały do tego konkursu, bo były gdzieś

tam schowane przez cenzurę. Ale myślę o tym, moje wrażenie jest takie, że te pamiętniki po prostu się zmieniały, te wspomnienia się zmieniały.

Chyba będąc etnografem musi pani być też troszeczkę psychologiem, prawda? I znać troszeczkę te wszystkie mechanizmy działające na ludzką pamięć. Czy zauważyła pani, jak to się zmieniało? Bo to jest bardzo trudne wtedy podsumować, prawda? Wyciągnąć wnioski z rzeczy, które są opisywane na przestrzeni dziejów w jakiś tam różny sposób. Tak, to jest świetne pytanie, bo oczywiście te wspomnienia podlegają takiej ewolucji.

My to sami po sobie widzimy, prawda? Że trochę inaczej pamiętamy rzeczy, nie wiem, zaraz po studiach czy później. I to bardzo dobrze widać też, kiedy czyta się więcej pamiętników nadesłanych na dany konkurs. I to takie kolejne zastrzeżenie, to znaczy starałam się pracować na oryginałach, bo oczywiście część tych pamiętników była wydawana drukiem, w związku z czym tam były skreślenia redakcyjne, właśnie dobór też, bo nie wszystkie zostały opublikowane.

Więc to też jest bardzo istotne, żeby się temu przyjrzeć, bo to już nam mówi właśnie o tym, na przykład co było, co chciano pokazać, a co niekoniecznie jakby chciano. I tutaj na przykład pierwszy, jeden z pierwszych konkursów zorganizowany tuż po Odwilży, duży konkurs przeprowadzony przez Instytut Zachodni w Poznaniu, to była dosyć zaskakująca lektura dla mnie, dlatego że jest to ostatecznie wcześniej, ale jest już ponad dekadę po wojnie. Natomiast proszę się właśnie w tej odezwie konkursowej, że to proszę opisać właśnie ten proces, jak państwo tu przyjechali.

I okazuje się, że wiele z tych pamiętników oczywiście opisuje drogę, opisuje pierwsze wrażenia z miejscowości, ale to jest też opis tego nieudanego doświadczenia powojennego dla wielu osób. Rozczarowania tą rzeczywistością. To są takie pamiętniki, które no właśnie nie tyle opisują wspomnienie czy pamięć, ile opisują właśnie co jest nie tak z tą rzeczywistością.

Co nam obiecaliście, czego nie dotrzyмалиście, że wszystko tam miało na nas czekać, a tego i tego nie było. Mieliśmy stworzyć ten nowy wzór Polaka, a to się nie udało. I to też była pod tym względem bardzo ciekawa lektura, że dla wielu osób te pamiętniki były nie tylko okazją, żeby opowiedzieć o tym, co minęło, ale właśnie taką okazją, żeby pokazać właśnie, co było nie tak, ewentualnie pokazać, jak można by to było naprawić.

Bo też bardzo wiele osób miało takie racjonalizatorskie właśnie pomysły, że teraz skoro już jest po odwilży czy trwa odwilż, no to może spróbujemy to zrobić inaczej. Więc to jest jedna kwestia. Druga to oczywiście to, że pewne elementy wracają później przy różnych innych okolicznościach.

To znaczy jak wspomniałam o tej wystawie Ziemi Odzyskanych i tym problemie z terminem Ziemi Odzyskane. To jest mniej więcej ten moment, kiedy przestaje się kłaść taki duży nacisk na tą społeczność pionierów, pierwszych mieszkańców, kiedy już właściwie mówi się, że włożyliście ten trud, ale już jest po wszystkim. W związku z czym te wspomnienia pionierskie, one też dużo później wyphywają.

To znaczy ich jest później całkiem sporo w rozmaitych konkursach z końcówki lat 60., w latach 70., kiedy właśnie też wraca się do tych pierwszych lat i próbuje znaleźć odpowiedź na to, co z nami, co myśmy robili przez te pierwsze trzy lata i dlaczego nie zostaliśmy tak docenieni, albo zostaliśmy docenieni, ale później o nas zapomniano. Więc te pamiętniki są często też takim rodzajem autorefleksji, zastanowienia się, przelania na papier takich własnych rozmyślań. Właśnie nie tylko takiego mechanicznego wspomnienia o to robiłem w kwietniu, a to potem robiłem w maju.

Więc to też pod tym względem jest bardzo ciekawy rodzaj źródła. Tak, tak, właśnie miałam takie wrażenie, że te pierwsze pamiętniki były takie dość wyprane z emocji, a szczególnie w porównaniu z tymi, które były później. Te późniejsze były bardziej nasycone takimi wspomnieniami bardziej indywidualnymi, takimi to było fajnie, tu chodziliśmy tańczyć, tu coś się działo, tu się zakochywaliśmy, a wcześniej było tak bardziej poukładane wszystko, takie z życia codziennego, jak gdyby wzięte.

Ale mam wrażenie, że to jest jedna sprawa to czas, a druga też grupa, do której to było skierowane. Bo na przykład dla mnie taką dużą zagwozdką były pamiętniki żołnierzy i wojskowych. Ja tak sobie wymyślałam, że jeden z rozdziałów powinien dotyczyć żołnierzy, no i okazało się właśnie, że te pamiętniki żołnierskie, które udało mi się odszukać, właśnie dokładnie były pisane takim suchym językiem.

Korpus, szedł, tak, takim żołnierskim bardzo językiem. Stąd też w Ziemiach, w tym rozdziale użyłam też jeszcze kolejnego takiego źródła, to znaczy zapisu rozmowy radiowej, którą odnalazłam w Narodowym Archiwum Cyfrowym. Takiej bardzo specyficznej rozmowy, bo wydaje się, że dziennikarz jest dużo bardziej, dużo więcej energii inwestuje w opowiedzenie tej historii niż sami weterani, którzy są bardzo ostrożni i cały czas gdzieś właśnie próbują się dobrać do tej historii, ale w takich ostrożnych słowach.

Więc to jest kolejny taki element. Kto je pisał, prawda? Bo my mówimy o pamiętnikach, ale musimy mieć świadomość, że pisały je najróżniejsze osoby z najróżniejszym bagażem doświadczeń, czy wojennych, czy już powojennych, bo czasami odzywali się też już, odzywały się osoby urodzone po wojnie, zwłaszcza na te późniejsze konkursy, które też chciały coś powiedzieć. I od tego też ten charakter danego pamiętnika może zależeć.

Dobrze, może już zostawię źródła, chociaż one mnie szczerze mówiąc bardzo interesują, bo od tego bardzo dużo zależy, ale przejdźmy teraz do następnego zagadnienia. Bardzo proszę, żeby Pani nam przybliżyła to, co tutaj jest w książce pięknie opisane. Jakie grupy przybyły na te tak zwane ziemie zachodnie? Tu będziemy mieli teraz znowu parę nazw, które nie przetrwały próby czasu, tak można powiedzieć, ale gdyby Pani właśnie mogła nam przybliżyć zarówno liczebnie, jak i nazywając te poszczególne grupy, które tutaj przybyły.

I tutaj się będę posługiwała takimi nazwami, które też sporo mówią o tych naszych problemach z nazywaniem i tym, że w 80 lat po wojnie mamy problem z poszukiwaniem tego języka, bo to są takie nazwy, które powstają latem roku 1945, co zaskakujące w Krakowie. Dlatego, że Kraków relatywnie mało zniszczony nadaje się od razu do tego, żeby w nim zgromadzić takie ciało nazwane Radą Naukową dla Zagadnień Ziemi Odzyskanych. Ponad

stu profesorów, którzy mają jakoś nazwać tę rzeczywistość, jakoś spróbować nad nią zapanować, coś z tym zrobić.

O tym, że to był trochę późny projekt i nie do końca udany, świadczą takie zapiski na marginesach przesyłanych przez nich do Warszawy pism, które często głoszą, że to są uwagi zbyt późne, tego się już nie da przeprowadzić. Ale oni wymyślili tam w tym Krakowie, że właściwie pod względem ruchu i kto skąd przyjeżdża możemy te osoby, tych wszystkich osadników, takiego terminu używano, podzielić na zasadniczo na takie cztery grupy. Więc ja to przytoczę i pokażę, jak to nie zawsze się składało.

No więc po pierwsze, były osoby wysiedlane ze wschodu, które nazwano repatriantami, w kreowaniu takiego złudzenia, że one wracają do ojczyzny, podczas kiedy traciły te swoje małe ojczyzny i goniły tę Polskę, która się przesuwała na zachód. Po drugie byli, i to była druga pod względem liczności grupa, bo pierwszą trochę nieintuicyjnie nazwano przesiedleńcami. Co nam by się wydawało takim ogólnym terminem.

I przesiedleńcami nazwano osoby, które przyjeżdżały z tych ziem dawnych, z tej centrali, z tej Polski, która miała zostać Polską i które zachęcano wizją awansu społecznego, ziemią, no właśnie tym hasłem, że wszystko tam na was czeka. I to była zdecydowanie najlicniejsza grupa, mimo że te osoby przesiedlane ze wschodu, no właśnie, bo to jest kolejna kwestia, że to, o czym opowiadamy, to nie jest tylko rok 45, nawet nie 46, 47, bo te osoby przesiedlane ze wschodu mają jeszcze w drugiej połowie lat 50. też możliwość wyjechania, tak zwana późna repatriacja.

Trzecią grupę, którą wyróżnia ta Rada, stanowią reemigranci. I to są osoby, które przyjeżdżają z zachodu, ewentualnie z południa, czyli osoby, które wyjechały za pracą, często jeszcze przed wojną, na przykład do Francji czy Belgii, pracowały w kopalniach. I teraz im się mówi, że właśnie sztafeczna, z której wyjechaliście, bo nie było pracy, nie istnieje, jest nowa.

Przyjeżdżajcie i tutaj będziecie mogli pracować. No i taka czwarta, zaskakująca grupa, to są autochtoni, to znaczy ludność rodzima, która się nigdzie nie ruszała, ale mimo wszystko zaliczono ją w poczet tych osadników. I to są takie cztery podstawowe grupy, ale one, no właśnie, to też szufladki, które próbowano tych ludzi powtykać, ani nie są sztywne, ani nie są szczelne, bo okazywało się na przykład, że część osób, która przyjeżdżała ze wschodu, miała korzenie centralackie, czyli powinna należeć de facto do tych przesiedleńców, a tylko na przykład w okresie międzywojennym, szukając pracy czy dostając nadania, jako byli wojskowi, wyjechali na wschód, w związku z tym stamtąd przyjeżdżali.

Innym takim problemem było, co zrobić z robotnikami przymusowymi, którzy byli na tych terenach, z jeńcami wojennymi, gdzie ich zaklasyfikować. A to przecież często robotnicy przymusowi na przykład byli tym pierwszym przyczółkiem nowej administracji, bo ktoś zostawał na przykład sułtysem w miejscowości, w której był na robotach. No więc to się wymykało tym klasyfikacją.

No i wszystkie te osoby spotykały tutaj jeszcze Niemców, którzy czekali na wysiedlenie, a niektórych władza nie chciała wysiedlać. To znaczy były takie podstawowe trzy grupy, których nie chciano wysiedlać, przynajmniej przez jakiś czas. I to byli specjaliści, czyli osoby, które

pracowały w takich zakładach, gdzie wymagano pewnych umiejętności, które miały najpierw przekazać i potem dopiero mogły wyjechać.

I tu znowu te podziały nie są sztywne, bo było też sporo osób, które pracowało w gospodarstwach zajmowanych przez Armię Czerwoną. Więc to de facto nie była praca specjalistyczna, ale z kolei żołnierze radzieccy też nie chcieli specjalnie tych osób wysiedlać. Była grupa antyfaszystów, czyli osób, które umiały udowodnić, że aktywnie sprzeciwiały się nazizmowi w trakcie wojny.

I tą grupę też potem zmniejszano, zachęcano, żeby zwłaszcza po powstaniu Niemiec Wschodnich, NRD, żeby tam wyjeżdżały, no bo ktoś lepiej sobie poradzi, niż osoby, które już mają doświadczenie walki z opresyjnym systemem. No i trzecia grupa, czyli małżeństwa mieszane. Osoby z małżeństw mieszanych, które próbowano weryfikować, to znaczy zakładano takie komisje weryfikacyjne działające nawet na dworcach, bo do tego stopnia była taka obawa właśnie, czy my faktycznie wysiedlimy te osoby, które chcemy wysiedlić, a nie przypadkiem kogoś innego.

Ale tu sprawa też była skomplikowana, bo często te komisje działały na takich bardzo niepewnych, niejasnych wyznacznikach. To znaczy jak określić, że ktoś jest Polakiem? Czy mówi po polsku? Czy nazywa się po polsku? Było takie kryterium, czy na przykład wychowuje dzieci w duchu polskości. No ale co to jest duch polskości, jak go stwierdzić? I o tym, że niespecjalnie też ufano osądom komisji weryfikacyjnej, świadczyło też to, jak nazywano często osoby zweryfikowane, bo określano ich Polakami za 25 zł.

Bo 25 zł to była ta opłata, którą trzeba było wnieść, żeby stanąć przed komisją. No i wszystkie te osoby zaczynają tworzyć tą nową społeczność. Do tego dochodzą jeszcze też urzędnicy, którzy przyjeżdżają, pierwsi pełnomocnicy, administratorzy.

Ci, którzy wchodzi trochę w skład tej grupy osadniczej i gdzieś mają kreować, właśnie zakładać te nowe władze. Dużo mamy. Tutaj duże grupy, dużo różnych ludzi można tak powiedzieć, że tutaj przybywa.

I powiem tak, trochę prywatnie. Moja babcia z moim dziadkiem poznali się w Niemczech. Przyjechali do miejscowości w byłym Pomorskim, gdzie babcia wcześniej mieszkała.

Nie mieli tam, gdzie mieszkać. Dowiedzieli się od znajomej, że tu niedaleko Słupska jest możliwość zajęcia domu i przyjechali. Dlatego przyjechali.

I to jest jedna z możliwości, że ludzie decydowali się na przyjazd w konkretne miejsce. Jakie były inne przyczyny osiedlania się w poszczególnych miejscowościach? Czy to była zaplanowana akcja? Czy ktoś tym kierował? Jak to wyglądało w praktyce? Z jednej strony oczywiście były próby ogarnięcia, mówiąc kolokwialnie, tych milionów osób, które znajdują się w ruchu. No i pomysły były różne.

Ta rada, o której wspomniałam na przykład, kreśli takie mapy. Ludzie mają się przesiedlać równoleżnikami. I w zapiskach rady znajdujemy w ogóle takie zapiski, że ten pomysł powstał dlatego, żeby ludzie przychodzili nam do mniej więcej podobnych warunków, na przykład

jeżeli chodzi o głebę czy klimat, ale równocześnie, żeby mieli takie wrażenie, że nic nie tracą, ale zyskują.

I jeszcze tak jest troszeczkę lepiej, niż było tam, skąd przyjechali. No i oczywiście ten pomysł równoleżnikowy, on się częściowo udał, ale nie do końca. To znaczy, że go się nie dało w ten sposób oczywiście przeprowadzić.

Bo nawet jeżeli ktoś wsiadał do pociągu, na którym była tabliczka, nie wiem, drawsko-pomorskie, to nie znaczyło, że wysiądzie w drawsku pomorskim. Bo te tabliczki czasami wymieniano po drodze. Też pokazuję takie pamiętniki, kiedy ludzie się widzą, jak zmieniają im nagle tabliczkę.

Czasami decydował zupełny przypadek, bo pociąg się zatrzymywał i już po prostu nie jechał dalej. Taka jedna z moich ulubionych historii, no właśnie z mojego powiatu wałeckiego, która dobrze pokazuje, że teoria teorią, a życie życiem, to historia z jednej z rodzin, która jechała z ulami. I pszczoły po prostu zdecydowały się wyroić w jednej z miejscowości i oni wysiedli za nimi, nie chcąc ich stracić.

Czy decydował też czasami taki przypadek zupełnie błachy, jak inna z rozmówczyń, która opowiadała, że trafili do Wałcza dlatego, że wcześniej przyjechała tam z Wileńszczyzny, bo wcześniej przyjechała tam ciotka, która wysłała im depesze, przyjeżdżajcie duże stutysięczne miasto, bo dopisała jedno zero. Więc oni wysiedli z dworca i rozmówczyń wspomina, że przyglądasz się, gdzie są tramwaje w takim razie, których nie było. Więc z jednej strony właśnie były te próby, takie próby uporządkowania tego ruchu i tutaj też taką aktywną rolę odgrywał Państwowy Urząd Repatriacyjny.

Czyli taki urząd stworzony już właściwie pod koniec roku 1944, który miał też, no właśnie, początkowo zajmować się osobami wysiedlanymi ze wschodu, ale szybko się okazało, że będzie zajmował się właściwie wszystkimi. No i miał przewozić, ale okazało się, że to też nie wystarczy. W związku z czym pury właściwie stały się takimi miejscami, gdzie przede wszystkim karmiono, bo tam wydzielano racje żywnościowe i to karmiono zarówno tych nowych osadników, jak i w pewnym momencie też Niemców czekających na wysiedlenie.

Pur ubierał, pur dostarczał materiałów, starał się jak mógł, chociaż to też jest taki dziwny urząd. To znaczy większość dokumentacji purowskiej pochodzi z inspekcji purów. W związku z czym pokazuje, co tam było nie tak.

A to, że marmolada była spleśniała, a to właśnie, że ktoś gdzieś coś ukradł, a to, że nie było ciepłej wody, ale z drugiej strony jakby z dokumentów też prowadzonych jednak przez tych urzędników, którzy w godzinach urzędowych byli urzędnikami, ale przetipowy też byli osadnikami, wynika właśnie ta taka próba dania jakiejś namiastki normalności też często. Pury też przez pierwsze dwa powojenne lata przynajmniej organizowały na przykład Wigilię z takim poczuciem, że skoro ludzi jest tak dużo, no to trzeba coś zrobić, żeby jakoś chociaż ten jeden dzień w roku wyłączyć z tego trudu. Więc to była taka z kolejnych prób.

No ale osadnictwo na własną rękę też często prowadziły urzędy miejscowe właśnie, więc też mówią na przykład przyjeżdżajcie tutaj, jakby tutaj potrzebujemy im księgowego, a tutaj mamy do uruchomienia fabrykę. Z kolei z ziem dawnych organizowano takie grupy

zwiadownicze, które działały trochę jak reklama, to znaczy można było przyjechać, zobaczyć jak to wygląda no i na przykład sprowadzić rodzinę. No i na przykład moja historia rodzinna jest taka, że moja prababcia faktycznie przyjechała pierwsza, po czym do całej mojej centralackiej rodziny napisała, że przyjeżdżajcie, tutaj są gospodarstwa i tutaj można się urządzić, więc takie też były motywacje.

Niektórzy chcieli się ukryć, bo to jest też taki dziwny moment w historii Polski, że no nie jest bezpiecznie dla wszystkich, dla na przykład byłych żołnierzy Armii Krajowej, którzy w związku z tym chcą tu przyjechać, żeby zobaczyć, czy da się przeczekać. Niektórzy myślą, że może jeszcze będą jakieś walki. Ja w ziemiach pokazuję przykład Tadeusza Konwickiego, który jedną ze swoich będących jego alter ego postaci o takiej właśnie motywacji opisuje.

No więc tych motywacji było bardzo dużo i tego, gdzie decydowano się ostatecznie wyjechać. Tak, ale tak stwierdzeniem o pani centralniackiej rodzinie wywołała pani kolejne pytanie teraz, ponieważ wszystkie te grupy, które absolutnie no teraz nam się już przemieszały i nie pasują nam do tych opisów, o których pani mówiła, niosły ze sobą różne kultury, różne tradycje, różne wspomnienia, różne nadzieje i różną wizję swojego dalszego życia. To widać we wspomnieniach, które czytamy, tu niedaleko Słupska w Głównych została wydana taka dwutomowa, takie dwutomowe dzieło Przesiedlona młodość i tam na przykład jest mowa o tym, jak no krzywo patrzono na siebie, obserwowano to, co robią sąsiedzi na przykład nawet w kwestii stroju, że my to jesteśmy ładnie ubrani, nawet na pole u nas się chodziło ładnie ubranym, a oni to są tacy, panie przeklinają, dziewczyny się brzydko zachowują i takie no te różnice były widoczne, prawda? Jak to się ujednoliciło? Czy ma pani takie podsumowanie, w jaki sposób to społeczeństwo się tworzyło? Bo myślę, że tutaj było wiele też przeszkód, prawda? W tym, żeby ono się rzeczywiście tak zrastało.

To był bardzo trudny proces. Tak i dlatego na początku w ogóle dominowały małżeństwa takie wewnątrzgrupowe. To znaczy, że szukano na przykład faktycznie małżonka z tej samej grupy, z którą się przyjechało i owocem tego były takie małżeństwa właśnie, też jak małżeństwo moich dziadków, którzy przyjechali z podobnego miejsca, nie znali się w centrali, osiedli blisko siebie na tak zwanych ziemiach odzyskanych w dwóch wsiach i takich małżeństw było dosyć dużo.

Dopiero później pojawiały się też te małżeństwa międzygrupowe. Ale ja mam wrażenie też, że no właśnie, z jednej strony pewne elementy tych kultur zanikały i następował taki przynajmniej na samej powierzchni proces ujednolicenia i tu dużą rolę grała szkoła. Bo szkoła była tym pierwszym miejscem, gdzie się stykano faktycznie, musiano się stykać, nie było wyjścia.

Z najróżniejszymi innymi dziećmi, które właśnie mówiły często dialektem, czy miały jakiś akcent. Nauczyciele też mogli mieć akcent, bo na przykład przyjechali z jakiegoś miejsca, gdzie ten akcent był wyraźny. Ale z drugiej strony to zróżnicowanie jednak pozostało.

To znaczy, to jest trochę paradoks. Jak mówiłam chociażby na przykład o tym, że my zawsze na mapie jesteśmy jednym kolorem, no to jak przyjrzymy się temu, co jemy na Wigilię, to my jemy najróżniejsze rzeczy, prawda? To znaczy, to też są te elementy cały czas przywiezione,

które gdzieś kultywujemy. I może jakąś taką anegdotę dodam, że w latach sześćdziesiątych właśnie w Koszalińskim były badania etnograficzne właśnie z tą myślą prowadzone.

To znaczy, że już mamy dwie dekady po wojnie, więc te elementy kultury, które były jakoś słabsze, właśnie wyśmiewane na przykład, nieakceptowane, musiały zaniknąć. No i tam faktycznie z tych badań też wychodziło na przykład, że starsze kobiety przestały nosić chustki na głowach. No właśnie, żeby się nie wydawać zacofanymi.

Ale szybko ci badacze odkryli, że coś jest nie tak, bo było dużo młodych dziewczyn w chustkach. No i skąd to się wzięło? A wzięło się stąd, jak później odkryli, że to przypadało na czasy świetności Brigitte Bardot, która nosiła chustkę. Więc to też pokazuje właśnie, że kultury nawet miejscowe to nie są wyspy, prawda? Odcięte od innych kontaktów.

Że tam jest nie tylko ten kontakt pomiędzy grupami osadniczymi, te kontakty utrzymywane z rodziną, która została na przykład w centrali, na zachodzie czy na wschodzie, ale też właśnie przez to, co przychodzi czasami właśnie przez telewizję, czy przez kulturę masową. Czyli wynika z tego, że to Brigitte Bardot miała dobry wzór do naśladowania. Dobrze, ale to jest bardzo skomplikowany temat.

Ale teraz chciałabym nawiązać do rzeczy, z którą my jesteśmy chyba tak nawet na co dzień. To znaczy, przybywali ludzie tutaj na tak zwane ziemie odzyskane ze świadomością czy też z taką informacją, że zastaną tutaj wszystko dla siebie, że będą mieli pod dostatkiem wszystkiego, wszystkich sprzętów. Czy rzeczywiście tak było? Bo często zostawiali przecież za sobą całe swoje życie, prawda? Często nie mieli nawet możliwości zabrania ze sobą tego, co mogli.

Tutaj oczywiście to pani zastrzeżenie, że to też zależy od czasu, zależy kiedy przyjechali, w jaką okolicę. No to wszystko można by oznaczyć taką małą gwiazdką, że zależy gdzie i kiedy, ale jakichś uogólnień dokonać musimy. Także jakby pani właśnie mogła tutaj nam troszeczkę o tym opowiedzieć.

Do czego ci osadnicy przybywali? Oczywiście było całe mienie polskie. Z mieniem polskim był ten problem, że ono dosyć szybko stało się mieniem mobilnym. To znaczy było poddawane takim procesom, jak chociażby szaber, czyli taka kradzież po nieobecnych.

To już bardzo specyficzne słowo. Czy była rabowana właśnie przez żołnierzy radzieckich. No i okazywało się, że tego było bardzo dużo, a równocześnie wcale nie było to takim codziennym wyposażeniem.

I tu znowu wchodzi władza z takim swoim pomysłem, że to wszystko musimy jakoś zebrać i rozdobyć. Więc początkowo jeszcze przed zakończeniem wojny pierwszy dekret, który ma to regulować, gdzie jeszcze nie ma tego słowa polskie, wprowadza tymczasowe zarządy takie, które mają właśnie zajmować się warsztatami, mają gromadzić jakieś rodzaje tego mienia, na przykład instrumenty muzyczne i potem to dystrybuować według ściśle określonych zasad. Bo były takie zasady.

Ustalono nawet taki przelicznik, ile co powinno kosztować. I to było też takie bardzo ciekawe cofanie czasu, bo ten przelicznik ustawiono na sierpień 1939 roku. Tam były skomplikowane

zasady, bo to się mnożyło w zależności od tego, kto kim był, jakie miał umiejętności i tak dalej.

Po takiej cenie mógł te rzeczy nabywać. Więc to nie było takie proste, że się po prostu przychodziło, zajmowało dom i koniec. Te tymczasowe zarządy, one się nie utrzymały specjalnie długo, one się też cieszyły niespecjalnie dobrą sławą.

Więc w 1946 roku pojawia nam się ten dekret, w którym się już pojawia mienie poniemieckie. Ten dekret jest problematyczny, bo nie do końca określa, co to znaczy, że coś jest poniemieckie, a z analizy akt często wynika, że to, co poniemieckie, nie musiało być wcale wcześniej niemieckie. To znaczy poniemieckie staje się taką kartą przetargową.

To jest coś właśnie na podstawie czego na przykład możemy kogoś zamknąć do więzienia, bo ma to nielegalnie. Bo coś, czego nie można przewieźć. Trzeba gdzieś zgłosić coś, co jest właśnie takim też słownym mechanizmem kontroli.

I ten dekret wprowadza też urzędy likwidacyjne. I ta nazwa mogłaby sugerować, że to są urzędy, które coś likwidują. Ale one nie likwidują tych rzeczy.

One likwidują taki specyficzny właśnie nadmiar własności. Czyje to w końcu jest? I urzędnicy z urzędów likwidacyjnych prowadzą na przykład spisy mienia, które są w sklepach, warsztatach, które właśnie można też poddać całemu temu procesowi redystrybucji. No bo pomysł jest taki, że zabierzemy wszystko i potem to równo rozdamy.

To będzie ten nowy świat już na równych zasadach. Każdemu, kto potrzebuje. Więc w takim urzędzie likwidacyjnym można było kupić.

Można było dostać, jeżeli się było do tego uprawnionym. Można było przedstawić świadków, na przykład co się utraciło, żeby dostać coś podobnego. Wymienić coś mniejszego na coś większego itd.

No ale to też prowadziło do różnego rodzaju niesnasek, bo ten ekwiwalent nie jest taki prosty. To znaczy to, co się straciło zawsze było większe, lepsze. Miało już jakiś ładunek emocjonalny niż to, co zastanę.

Albo wiadomo po kim, bo się jeszcze z tym kimś mieszkało często, albo właśnie nie wiadomo po kim. I ten stosunek do tego mienia po niemieckiego też był różny. I to też, no przepraszam, znowu postawię tą małą gwiazdkę, ale to też oczywiście wynikało na przykład z tego bagażu traum wojennych.

To znaczy, że spotykamy i takie historie, gdzie ktoś ma piękny serwis i tłucze go jedną filiżankę za drugą na oczach tego niemieckiego właściciela, bo to jest dla niego ten sposób odegrania się za to wszystko, co mu Niemcy zrobili w trakcie wojny. A mamy i kogoś właśnie, kto się zachwyci. O piękne, wspaniałe.

Nie miałem mam to do dzisiaj, prawda. To jest po mojej dziadku, prababci, ciotce i tak dalej, i tak dalej. Więc to też pokazuje, że te pomysły na zagospodarowanie mogły być w tej rzeczywistości bardzo różne.

Znaczą dzisiaj my się zachwycamy, na pewno bardzo nam się to podoba. Natomiast tak moje pytanie też wynikało z tego, że czasem słyszymy, że ci, którzy tutaj przybyli, nie szanowali po prostu. Nie uszanowali tego wszystkiego, co było.

Ja bym powiedziała, że to jest takie bardzo, bardzo duże nieporozumienie, bo znowu tę gwiazdkę by tutaj trzeba było. Ale chyba też o takim stosunku do tej ponemieckości. Tutaj to słowo też wiem, że pani mogłaby nam świetnie opowiedzieć.

Wszyscy, przepraszam za to trywialne odwołanie, ale w samych swoich była taka scena, gdzie na tym targu, to był właśnie ten targ szabrowy, szabierplatz, gdzie chłopak miał kupić kota i zażądano roweru. I było, że rower ponemiecki, a kot z miasta Łodzi pochodzi. Więc to było też takie porównanie.

Prawda, że to, co jest ponemieckie, jest gorsze w pewnym momencie. Tak i co więcej jeszcze, ja bardzo lubię tę scenę. Dlatego, że jak sobie tam zatrzymamy na chwilę ten film, to my widzimy właśnie tę dziwność świata powojennego, świetnie oddaną przez scenografów.

Dlatego, że ten kot, oprócz tego, że jest z miasta Łodzi, to on siedzi w klatce na ptaki. Tam w tle są ludzie w garniturach, trzech parach futra, prawda? Gdzieś to się wszystko przenosi. To jest trochę taki świat na opak, bo to, co robi też ponemieckie i to, co robi też ta próba zlikwidowania nadmiaru własności, to jest zaburzenie takiej granicy, którą my mamy między publicznym, a prywatnym.

Bo nagle to, co jest najbardziej prywatne, co jest w domu, jest na wierzchu. To nagle się okazuje być właśnie wynoszone, sprzedawane, szabrowane. I ten kot w klatce na ptaki właśnie dla mnie jest takim świetnym, bardzo czytelnym też tego symbolem.

Tak, no przez to też dużo utraciliśmy, prawda? Tego mienia ponemieckiego, które tu było, które było jeszcze w jakimś tam dobrym stanie. Można było je mieć, ale wiadomo, że ja nikogo nie oskarżam, bo to były zupełnie inne czasy. Dokładnie i też musimy wziąć pod uwagę, jakby bardzo praktyczną stronę.

Oczywiście. To znaczy, że ludzie często przychodzili na wyszabrowane albo bardzo mocno wyszabrowane. Więc jakby takie późne oskarżenia wysuwane, na przykład, dlaczego rąbaliście ramy obrazów, żeby nimi palić? No dlatego, że było zimno.

Oczywiście. Na pierwszej kolejności myślę o tym, żeby się ogrzać, a potem ewentualnie o tych obrazach. Ale to też dotyka trochę innej, jakby takiej przestrzeni emocjonalnej znowu.

Jedna z moich koleżanek, która prowadziła badania na Dolnym Śląsku, jej się udało uchwycić takie bardzo ciekawe zjawisko, że mieszkańcy tej miejscowości właśnie, była tam taka jedna rodzina, która miała, zajęła gospodarstwo, no, zelektryfikowane, z wodą bieżącą, w ogóle doprowadzaną do tych miejsc, gdzie było bydło, a mimo tego nosili wodę z rzeki. No i oczywiście, jakby tak stereotypowo możemy powiedzieć, ach, no bo oni przyjechali z Zabuga, na pewno nie umieli. No ale co, nie umieli kranu, nie umieli odkręcić? No umieli.

No i okazało się, że jakby też było takie przekonanie, że żeby to zwierzę się lepiej chowało, to trzeba w to włożyć więcej wysiłku. Więc ta woda jest jakby bardziej odżywcza, jeżeli ją przeniesiemy z rzeki, niż jak po prostu odkręcimy kran. Więc to nie jest po prostu tak, że bierzemy jakiś przedmiot i zaczynamy go używać, prawda? Za tym stoją pewne przekonania, wartości, emocje, to wszystko, co jest też w to wbudowane i to jest też wbudowane właśnie w ten mechanizm takiego prywatnego nawet zarządzania ponemieckim.

Tak, oczywiście. Tutaj to jest bardzo osobista też kwestia, jak ktoś reaguje. Oczywiście my dzisiaj możemy sobie tutaj mówić już tak z pozycji osób, które mają wybór, ale jak to reaguje na wejście w rzeczy po prostu po kimś i to jeszcze nie ukrywajmy, że po wrogu, prawda? Bo to był wróg.

Więc jest to kwestia rzeczywiście bardzo szeroka. A jak ci, którzy przybywali, osadnicy, jak reagowali na tych, których tu zastawali? Rozmaicie. To znaczy znowu będzie mała gwiazdka niestety.

Dlatego, że z jednej strony to, kogo zastawano, to zastawano osoby starsze, często kobiety i dzieci. I to trochę nie licowało też z takim obrazem Niemca, czy z takim doświadczeniem Niemca, które się miało na przykład z czasów okupacji, czy na ziemiach włączonych, czy w generalnej guberni, czy w ogóle tej podwójnej okupacji na wschodzie. W związku z tym próbowano, czasami próbowano się dogadać, no bo zwłaszcza jeżeli mieszkano w jednej przestrzeni, a czasami zupełnie nie próbowano właśnie.

Czasami to był ten moment, w którym emocje brały górę i próbowano się jakoś odegrać. I tu znowu wchodzi też władze. I ja pokazuję to w ziemiach na przykładzie autochtonów, czyli tej ludności rodzimej, w jaki sposób też, często biorąc ich za Niemców, bo spodziewano się zastać Niemców, a tu nagle są jacyś tacy ludzie właśnie, nie wiadomo jacy, w jaki sposób też i ich dotykały często takie represje, które budziły nawet zdumienie miejscowych Niemców, którzy zostali, którzy z jakiegoś powodu mogli zostać i opisywali potem, tak jak na przykład złotowski dziennikarz Erich Hoffman, który właśnie pisał, czekali, tak długo czekali na Polskę, jak Polska przyszła, to urządziła im obóz, bo takie obozy przyszciowe też zakładano i w tych obozach siedziały zarówno osoby, które właśnie uznano za Niemców, często dlatego, żeby konfiskować ich majątek, ale tam też trafiali na przykład wracający żołnierze Wehrmachtu, bo to jest kolejna kwestia, to znaczy w momencie, kiedy przychodzą pierwsi osadnicy, tych mężczyzn nie ma, bo oni są albo jeszcze na froncie, albo są na przykład już w niewoli, więc wrócą po jakimś czasie, albo w ogóle nie wrócą tu, tylko już spróbują te rodziny znaleźć w którejś strefie okupacyjnych Niemiec albo w którejś z tych państw niemieckich.

Więc wiązywały się bardzo różne relacje, które czasami też podtrzymywano, to znaczy ktoś wyjechał, ale przysyłał paczki na przykład, to też jest jedna z takich, czy pocztówki chociażby, czy kiedyś wrócił, żeby zobaczyć jak to wyglądało, więc ten stosunek zależał w obu przypadkach właściwie od tego jak wyglądało to doświadczenie wojenne i jak próbowano sobie ułożyć ten, przynajmniej ten pierwszy powojenny okres, bo w momencie kiedy przychodzą zarządzenia w danej miejscowości, że Niemców należy wysiedlać, to odwozi ich na stację albo do obozu zbiorczego ten nowy gospodarz ich gospodarstwa. To jest też taki ten moment tego rozstania się z tym swoim niemieckim gospodarzem. Ja tak pytam o to, ponieważ bardzo często we wspomnieniach, które ja czytałam jest taki obraz dość takiego

dobrego współistnienia, prawda? Bo ja wiem, że były też te złe przejawy, no bo trudno też osądzać.

Traumy powojenne i doświadczenia robiły swoje, ale też bardzo często się zdarza, że czytamy w tych opisach, że szczególnie ta integracja na poziomie dzieci, prawda? Odbывała się bardzo szybko i też gospodarze na przykład pokazywali nowym właścicielom gospodarstw, gdzie na przykład coś najlepiej zasiać, gdzie najlepiej rośnie, jak zadbać, żeby rzeczywiście były dobre wyniki. Więc tu pewnie z całą pewnością można powiedzieć, że to się odbywało różnie, niekoniecznie aż tak bardzo źle. Niekoniecznie.

Dlatego, że też wytwarzało się jednak to poczucie właśnie lokalności, to znaczy właśnie jak zadbać o tę ziemię, jak zadbać o to zwierzę, jak zadbać o to obejście, żeby ono zachowało ten kształt. I to też jakby przetrwało nawet w tej idei czy w tym pomysle tych dawnych niemieckich właścicieli, którzy przyjeżdżają i chcą zajrzeć na przykład i zobaczyć, jak teraz wygląda to mieszkanie. Jedną z moich rozmówczyń opowiada taką historię, która mam wrażenie bardzo dobrze to ilustruje.

To znaczy przyjeżdżają ci dawni właściciele, ona ich wpuszcza, no i oni widzą jakiś obrazek, który został na ścianie. Nic cennego. Taki jakiś landszawcik.

No i pytają, czy mogą go zabrać. No bo to ich. I ona mówi, że nie.

Ale nie dlatego, że on jest właśnie cenny czy się przywiązała do niego, tylko on jest stąd. Mówi, że skoro nas przetrwał, to pewnie nas przetrwał, on już jest tutaj. Więc to też pokazuje trochę to wytwarzanie się tego, co lokalne, to przywiązanie do tego, co tutejsze, do tego, co jednak jakoś wyrasta z tego miejsca, gdzie się znaleźliśmy.

Właśnie, ale to też wiąże się z zupełnie innym zagadnieniem, ale z tej samej dziedziny. Przeświadczenie o tymczasowości pobytu. Jak pani do tego się odniesie? Jak ta tymczasowość, ta świadomość tymczasowości, o której tyle się mówi, jak wpływała na budowanie społeczeństwa, na tak zwanych ziemiach odzyskanych? Pytanie z gwiazdką.

Dlatego, że faktycznie mamy z jednej strony tą historię właśnie o tym, z którą wszyscy się pewnie spotkaliśmy. Do roku 70. to nikt gwoźdźnia nie wbił.

Co oczywiście, jak się przyjrzymy, nie było siłą rzeczy możliwe. To znaczy już ten pierwszy okres, kiedy się próbowano urządzić, to jest jedna sprawa. I to jest takie pytanie, na którym w odpowiedzi dobrze można pokazać znowu, jak inaczej wyglądają takie cezury duże, z takiej wielkiej historii, gdzieś właśnie przychodzące z centrów, a inaczej lokalne.

Dlatego, że ten rok 70., który jest takim właśnie przypowieściowym momentem, kiedy coś się zaczyna dziać, no to jest moment układu między Polską, a Niemcami Zachodnimi. Bo my mamy kilka takich układów, które mają legitymizować granicę zachodnią. No i w tym roku 70.

Niemcy Zachodnie zgadzają się przyznać, że ta granica idzie tamtędy, tędy idzie. No i to jest jedna sprawa. No ale jak przyjrzymy się na przykład, jak to opisuje lokalna prasa w tym roku 70., no to okazuje się, że opisuje, ale nie jest aż tak strasznie zainteresowana.

No i to mnie popchnęło trochę w inne kierunki, właśnie żeby przyjrzeć się temu, jak sobie z tą tymczasowością bądź jej brakiem radzono na miejscu. No i okazuje się, że znowu trochę inaczej się będzie czuł ktoś, kto przyjechał z centrali, ma lat 25, idzie na wieczorowy kurs, zaraz się ożeni i on tu przyjechał do pracy, tutaj już ma mieszkanie, czeka na mieszkanie i tu założy rodzinę. Inaczej ktoś, jakaś starsza osoba, która bardzo wiele straciła na wojnie, przyjechała z ziem zabranych, zamieszkała blisko dworca, nigdy się nie rozpakowała, czekała właśnie, że ta granica się może znowu przesunie.

Ale czasami ta granica, tego czucia się u siebie i nie u siebie szła wewnątrz rodzin. Jedna z moich rozmówczyń opowiadała o doświadczeniu swoich dziadków, którzy znowu dziadek przyjechał i powiedział, że on nie, to on tutaj absolutnie, żeby go nie chować w Wałczu, bo nie wiadomo, czy on będzie polski, nie będzie polski, żeby go pochować w jakimś mieście, które będzie na pewno polskie. A babcia powiedziała, nie, my zaczynamy życie, my mamy dzieci, my musimy zacząć żyć.

I to też pokazuje, jak to czasami w obrębie jednej rodziny potrafiło się różnić, bo to wytwarzanie tej nie tymczasowości, tego zakorzenienia, to czasami przebiegało właśnie nie przy czekaniu na wielki międzynarodowy traktat, tylko na takich bardzo prostych rzeczach, które też są bardzo zrozumiałe z ludzkiego punktu widzenia. Tu mi się urodziło dziecko, jestem stąd, ono jest stąd. Tutaj zmarł mój ojciec, to jest jego grupa, nim się będę zajmować, jestem stąd.

I to są czasami takie małe rzeczy, które to powodowały. Przy czym oczywiście, i tu znowu gwiazdka, im bliżej granicy, tym bywało z tym różnie. To znaczy nic dziwnego, że do końca lat 50.

w Szczecinie ta niepewność była większa, więc wizyta Nikity Chruszczowa, którą potraktowano trochę jako takie ostateczne przyklepanie polskości Szczecina, była tak mocno opisywana, czy tak hojnie był witany przez mieszkańców. Więc to są kolejne takie elementy, które na to wpływają. I jeszcze jedna sprawa, to znaczy, że ta tymczasowość czasami była generowana nie tu, a na ziemiach dawnych.

To znaczy zdarzały mi się już takie historie, kiedy ktoś np. opowiadał o swoim krewnym, który wyjechał np. z Podkarpacia i się świetnie zakorzenił na tzw.

ziemiach odzyskanych, ale rodzina do lat 70. jemu trzymała ten pokój na tym Podkarpaciu. To znaczy oni byli mniej pewni, co będzie niż on gdzieś tam.

Więc to też pokazuje wielowektorowość i wielokierunkowość tego, co my tak trochę, taką parasolką tymczasowości sobie cały czas przedstawiamy. Tak, to rzeczywiście bardzo skomplikowane, jak wszystko tutaj w tym temacie. Natomiast ja mam taką refleksję, na ile to społeczeństwo, które okrzepło na tzw.

ziemiach odzyskanych, okrzepło w ramach procesów naturalnych, takich integracyjnych, które trwają do dziś, a na ile pomogły urzędy, pomogło państwo, jak to ministerstwo ziemi odzyskanych, które kilka lat istniało. Jak pani ocenia, czy rzeczywiście polityka państwa pomogła, czy to tylko te procesy oddolne? Ja też mam wrażenie, że w tym pytaniu się kryje coś jeszcze, bo ono oczywiście nie kończy się na przykład wraz z... Ten czas, który ono

obejmuje, nie kończy się na przykład ze styczniem 49 roku, kiedy przestaje istnieć ministerstwo ziemi odzyskanych. To znaczy mamy 80 lat i ten proces kulturotwórczy trwa 80 lat.

Wydarzają się różne inne rzeczy, to znaczy wydarza się nie tylko rok 45, nie tylko przesunięcie granicy, nie tylko układy dotyczące granic. Zmienia się chociażby podział administracyjny tych terenów, prawda? Z wielkich okręgów, początkowo czterech, w późniejsze województwa, później w te 49 województw, teraz w te województwa, które mamy. Więc zmieniają się lokalne punkty odniesienia, zmieniają się te punkty odniesienia, które też trochę zarządzają naszą wyobraźnią.

To znaczy kim my się czujemy, jak mamy województwo śląskie, a jak mamy województwo pomorskie, a jak jesteśmy w okręgu Pomorza, prawda? Dokąd jeździmy załatwiać sprawy, prawda? Jak finansowana jest na przykład infrastruktura budowana w naszej okolicy. Więc to nie jest tylko tak, prawda, że my tak sobie od tego czterdziestego piątego na tym poniemieckim i absolutnie nic się nie dzieje. Więc jedna i druga strona tutaj jest ważna.

To znaczy i te procesy administracyjne na poziomie centralnym i lokalnym, zwłaszcza po utworzeniu tych mniejszych województw, gdzie też próbowano trochę inaczej rozdzielać fundusze i trochę inaczej budować takie najpotrzebniejsze powiedzmy szpitale, szkoły i tak dalej, i tak dalej. I te próby połączenia w ogóle, łączenia tych terenów chociażby właśnie przez budowę tysięcy szkół na tysiąclecie, czy na obejmowanie tych wszystkich, jakby obejmowanie tej całej Polski, żebyśmy już jej nie brali w ten ciągły cudzysłów, że tu tak zwane odzyskane, tu tak zwane dawne, a tu jeszcze tak zwane kresy i tu są tak zwani osadnicy, prawda? Bo znaleźlibyśmy się w takiej dziwnej sytuacji, kiedy opowiadając o własnym kraju ciągle mrugamy do siebie okiem, że tak zwane, ale my się umawiamy, ale to jest w cudzysłowie. No a z drugiej strony właśnie te procesy lokalne, prawda? Trochę nawiązując do tego, co już powiedziałam.

Mamy swoich zmarłych, mamy te swoje historie przecież, które tu trwają. Mamy czwarte, piąte właściwie już pokolenie, które jest stąd, więc to są też takie kolejne rzeczy, które trzeba wziąć pod uwagę. I też mam wrażenie, że dlatego dla mnie jako dla etnografii to jest tak ciekawe.

To znaczy, że to jest taki właśnie proces kulturotwórczy na gorąco od osiemdziesięciu lat do obserwowania właściwie tu i teraz przez cały czas. A teraz mam bardzo trudne pytanie, bo chyba na nie nie można tak odpowiedzieć wprost, ale inspiruje mnie pani, żeby to pytanie zadać, ponieważ mówimy tutaj cały czas o procesach, które trwały od czterdziestego piątego roku. Nie ukrywajmy, że głównie przez pierwsze dwie, trzy dekady one trwają, ale taka największa intensywność to była oczywiście zaraz po wojnie.

Ale mamy rok 2025. Czy to pierwsze wspólne przeżycie tego społeczeństwa, czyli zagospodarowywanie tych ziem, na które przybyli, może być jakimś wspólnym mianownikiem, jakimś początkiem dla budowania takiej, nie mam tutaj dobrego słowa, użyję zastępczego, poważnej tożsamości lokalnej, miejscowej, ponieważ ten jeden kolor na mapie, ten projekt, o którym pani mówi, mam wrażenie, że niedługo będzie wymagał troszeczkę

rozdrobienia. Ludzie chcą na przykład, no na przykład, taki prościutki przykład z życia wzięty, jest mała grupa osób śpiewających, chcą śpiewać piosenki ludowe i nie mają stroju.

I w jakim stroju? Ja pamiętam, że w przedszkolu chodziłam w stroju krakowskim. Ja też, ludowym. Tak, no mało pasuje, chociaż jest śliczny, ale czy właśnie to doświadczenie może jakoś jednoczyć? To jest bardzo trudne pytanie, ale czy pani ma jakąś receptę dla nas tutaj na tych ziemiach odzyskanych, tak zwanych, żeby gdzieś zacząć tak wspólnie iść ku przyszłości, ale już z tą tradycją, bo to jest jakiś element też tradycji.

Ja chyba nie mam spójnej recepty, żadnej, też dla siebie, bo przecież też jestem stąd, ale mam wrażenie, że to, co obserwujemy chociażby w zakresie właśnie tego, jak myślimy o kulturze ludowej tych terenów, jak możemy, bo kultura ludowa w ogóle jest kulturą wymyśloną, to znaczy to jest trochę etnograficzny taki konstrukt XIX wieku i w tym krakowskim też. Ale to, co się teraz dzieje, czyli właśnie trochę odejście od takiego myślenia, że tutaj to absolutnie nic, bo przecież mamy różnego rodzaju stroje w danych miejscowościach szyte. To jest też bardzo piękne.

Właśnie jedna z rozmówczyń, która była też zainteresowana kwestią strojów ludowych, opowiadała mi kiedyś, że no właśnie to było na ziemi lubuskiej, pojechała na tę ziemię lubuską do jednej z miejscowości, tam były panie w strojach ludowych. Ja mówię, no a jakie panie tu mają te stroje ludowe? I usłyszała odpowiedź, no tak, jak sobie uszyjemy. I to też pokazuje świetnie w ogóle też taki wyznacznik pewnej kreatywności tych kultur osadniczych, z których my się wywodzimy.

Ale o tym trzeba mówić, żeby wypędzić pewne kompleksy braku i uszu wzorów, prawda? Jakie sobie uszujemy, takie mamy. Ale to jest dobre. To trzeba trzymać, bo to jest dobre.

Dokładnie, bo to też można pokazać jako coś pozytywnego, prawda? Tak, to właśnie o tym myślę. Tak i to jest jedna sprawa. Druga sprawa to też mam wrażenie właśnie, że po roku czterdziestym piątym, właściwie od roku czterdziestego piątego mamy nieustające zainteresowanie tymi terenami.

O tym piszą historycy, etnografowie, socjologowie. Tych badań, tej twórczości jest sporo. Inna kwestia, czy ona wchodzi jakoś do głównego nurtu i jest recypowana, czy nie.

No i oczywiście do roku osiemdziesiątego dziewiątego, tak jak Pani też zauważyła, pewne tematy są nieobecne. O pewnych tematach się nie mówi. O pewnych grupach się nie mówi.

Po osiemdziesiątym dziewiątym roku mówi się więcej zarówno o tych wysiedlonych Niemcach, ale też o doświadczeniu osób ze wschodu, też o doświadczeniu Sybiraków chociażby, prawda? Więc to gdzieś jakby się rozbudowuje. A teraz mam wrażenie, to zainteresowanie w ogóle tym osadnictwem, tym jak to wyglądało, tym żeby wyjść też poza takie proste opowieści i mity, które wokół tego narosły, jest bardzo duże. I to jest może ten moment, kiedy zaczniemy bliżej rozmontowywać sobie te historie.

Przyglądać się im, zastanawiać się właśnie, co możemy z nich dla siebie wziąć, co one właściwie znaczą. Już nie w takim duchu kłopotliwego dziedzictwa PRL-u, z którego się będziemy śmiać, że co to są za ludzie, tam szli, bo wierzyli, że co, Bolesław Chrobry tam

szedł. No nie, to zupełnie nie na tym polega, prawda? Ale że mamy teraz taki dobry moment, żeby właśnie się temu przyjrzeć.

Dużo źródeł, cały czas sporo opowieści. No właśnie takie podejście do tego, że w tym wszystkim może być coś interesującego, coś dla nas. I coś dobrego po prostu.

Wiem, czytałam tu u pani w książce, że pani też z pobudek osobistych przeszła tą całą drogę. To znaczy, bo chciała właśnie pani rozpoznać dzieje swojej rodziny i jak to było właśnie z tym osadnictwem i z tymi wszystkimi historiami. Czy te liczne spotkania, które pani odbyła już w związku z pojawieniem się tej książki, spowodowały, że doszła pani do wniosku, że tak, to jest to, wszystko jest napisane, nic już nowego nie odkryje? Czy wręcz przeciwnie, powstał w pani głowie taki dysonans poznawczy też, polegający na tym, że ma pani nowe pomysły na pisanie i może nowe spojrzenie na coś? Może coś pani chciałaby tutaj nam powiedzieć, że jednak inaczej niż mi się wydawało? To znaczy, to jest w ogóle, bo liczyłam, że to jest moje czterdzieste pierwsze spotkanie w trasie z ziemiami.

I to są bardzo inspirujące spotkania. Dlatego, że one są zarówno i na tych tak zwanych odzyskanych, i na tak zwanych dawnych, to w jaki sposób książka jest odbierana, też rozmowy takie właśnie po spotkaniach, czy w trakcie spotkań, no to one są trochę generatorami nowych pomysłów. I takie dwa pomysły, które teraz gdzieś mi krążą po głowie i z którymi się mierzę, to pierwszy to jest właśnie ta centrala.

To znaczy, ta najliczniejsza grupa, która tu przyjeżdża, no i właściwie nie mamy żadnej spójnej pracy na ten temat. To znaczy, to jest tak dziwna grupa, to znaczy, ta centrala to jest tak dziwne pojęcie, no bo przecież z centrali jest ktoś i z łódzkiego, i z Luberskiego, ale i z Podhala, ale właściwie to Kujawy też się łapią, i Ziemia Wieluńska, i z Wielkopolski, jak jest to, też jest trochę z centrali. Co to właściwie znaczy? I co więcej, miałam takie doświadczenie, kiedy pojechałam na spotkanie do Radomia.

Spod Radomia właśnie moi dziadkowie przyjechali, więc ja byłam w niebo wzięta i zaczynam to spotkanie, że świetnie, cieszę się, ja jestem w centralskiej rodziny, tu wszyscy centralacy i ludzie my są centralacy. A co, co centralacy? No i okazuje się, że właśnie, centralakiem to się jest dopiero jak się przyjedzie. Znaczą, doświadczenie migracji dopiero czyni z człowieka centralaka.

Więc to, przyjrzenie się właśnie tym centralakom i tej centrali jeszcze w taki osobny sposób, to jest takie moje naukowe marzenie. No i druga rzecz, właśnie, co nas łączy? To znaczy, jak bardzo w gruncie rzeczy łączą nas pewne historyczne doświadczenia z ziemiami dawnymi, bo przecież i stamtąd wysiedlano Niemców i społeczności niemieckojęzyczne. I takie, takie wahanie czasami w głosie właśnie osób z centrali, że jak to, ale jak to jest możliwe, że przecież ci Niemcy to stąd, też pokazuje, że to jest trochę temat nieprzepracowany i można by się było mu bliżej przyjrzeć.

Także mam wrażenie, że ziemie są trochę takim punktem wyjścia do kolejnych tematów i gdzieś bardzo chciałabym dalej je realizować. Tak, tu jeszcze mogę zadać jedno pytanie. Jeszcze tylko ja, takie już ostatnie.

Chociaż mam ich jeszcze w głowie bardzo dużo, ale jeszcze jedno. Czy przygotowując tą książkę, tak obszerną, w niej pojawia się motyw Słupska kilka razy. Czy może nam pani coś powiedzieć o źródłach właśnie związanych z ziemią Słupską? My tak troszeczkę jesteśmy zachłannie na takie informacje.

Czy jest pani w stanie wyodrębnić taki zbiór właśnie wspomnień z tego terenu? To jest tak, że jeżeli chodzi o pamiętniki, bo tam większość tych źródeł to były pamiętniki, one nie są poklasyfikowane regionami. Więc jak się pracuje, zwłaszcza na tych korpusach dużych takich pamiętników, no to się okazuje, że trzeba sobie samemu je posortować. Czyli na przykład, że te nie, bo te są z Dolnego Śląska, a te nie, bo taki sam miałam problem jak szukałam pamiętników związanych z Wałczem.

No i oczywiście z takimi miejscami jak Słupsk czy nawet Wałcz, które są w takim niewygodnym położeniu zawsze gdzieś między dużymi innymi miastami. Zawsze się okazuje, że te archiwa gdzieś sobie wędrują. To jest duży problem, bo się okazuje, że można je znaleźć w zupełnie jakichś takich nieoczekiwanych miejscach.

Ja miałam taką przygodę z pamiętnikami właśnie żołnierskimi, które znalazłam w Koszalinie. I stwierdziłam, że świetnie, żołnierskie, Koszalin, no to będzie coś o wale pomorskim, będzie ten mój Wałcz. A tam było zaskakująco dużo właśnie miastko, Słupsk, Lębork, Bytów, bo akurat tak, akurat sobie Zbovic je przyporządkował i tak trafiły do Koszalina.

Więc w tym wypadku to nie były właśnie pamiętniki czy źródła, które były właśnie w Słupsku o Słupsku, a raczej właśnie znajdowane o Słupsku w innych miejscach czasami dosyć, no nieopisanych jako bezpośrednio na przykład ziemia słupska. Dziękuję Pani bardzo. Mogłybyśmy i moglibyśmy myśleć siedzieć tak jeszcze długo, bo tych pytań rodzi się coraz więcej w głowie, ale myślę, że to już przeczytane i czekamy na następne.

I na następne spotkanie. Dziękuję Pani bardzo. Dziękuję bardzo, bardzo dziękuję.

Bardzo dziękujemy za przyjęcie, za zaproszenie i za trud i bardzo dziękujemy za poprowadzenie. Bardzo, bardzo.